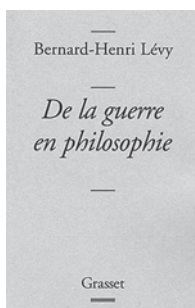




Bernard-Henry Lévy, *De la guerre en philosophie*

Paris: Grasset, 2010, 130 s.

ISBN: 978–2–246–76721–3 [wydanie pierwsze, miękka okładka]



De la guerre en philosophie udało mi się kupić przypadkiem na targach książki w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Miejsce jakby odpowiadało nastrojowi tej książki. Solidny, marmurowy pałac z mosiężnymi i kryształowymi żyrandolami, zabytek minionego systemu. A jednak dziś wciąż tętni życiem — konferencje, koncerty, festiwale filmowe, a teraz targi książki oraz młodzi i dojrzały ludzie nieustannie przemierzający się w pogoni za czymś.

Podobnie Bernard-Henry Lévy postanowił swoim dziełem ożywić solidny gmach filozofii — burząc go i budując równocześnie. Co się dzieje, gdy chce się jednocześnie niszczyć i tworzyć? Jaki gmach to wytrzyma? Jest nim „pałac” słowa. Kluczem do zrozumienia przesłania dzieła francuskiego filozofa jest bowiem następujący cytat: „Preferuję to szalone równanie między byciem i mówieniem, preferuję wielką paranoję tego faceta, który zwierza się, że bycie potrzebuje słów w ogólności i przypadkowo jego własnych, aby zachować siebie w swoim byciu i nie zanurzyć się w niebycie” (s. 31)¹. Rozważania Lévy’ego są konsekwencją tego założenia. Wydawca w ostatnich słowach informacji na okładce stwierdza, iż autor „kładzie kamień węgielny metafizyki przyszłości”. Jest to więc metafizyka słowa. Warto jednak zacząć od początku.

Jaki jest świat, w którym Lévy chce budować swoją filozofię? Jest to świat „nihilizmu zrealizowanego”, świat „uogólnionego zamieszania”. Jest to jednak równocześnie świat, w którym najwyższym obowiązkiem jest myślenie. Nie może go jednak podjąć ktoś, kto nie ma w sobie wiary w filozofię. Lévy zaraził

¹ Fragmenty recenzowanej książki w przekładzie W.W.

się tą wiarą od swojego mistrza Louisa Althussera. On jedyny potrafił przeciwstawić się ucieczce od metafizyki, która według Georga Wilhelma Friedricha Hegla jest „słowem, wobec którego każdy podejmuje bardziej lub mniej ucieczkę jak przed zadżumionym” (s. 12). On dał wyraz postawie, którą zachwyił się Lévy: „trzeba kontynuować [metafizykę], przekraczać, zdecydowanie nie uciekać, lecz stawić czoła” (s. 13). Nie można jednak iść naprzód, jeśli nie pozbędziemy się „patosu końca i jego niszczących emocji” (s. 15).

Przeciwstawiając się Alainowi Badiou i Slavojowi Žižkowi, Lévy postanawia pozostać wierny swojemu mistrzowi i czynić swoje — „czynić filozofię”. W tym postanowieniu kluczem jest bardziej słowo „czynić” niż „filozofia”. Należy jednak temu terminowi nadać nowe znaczenie. Nie będzie on oznaczać ani refleksji, ani kontemplacji, ani praktycznej mądrości, ani połączenia ze światem czy rozpląnięcia się w całości.

Co znaczy więc „czynić”? Słowo oznacza tu, w sensie dosłownym, „fabrykować”, „kompletować”, „składać” — jak w fabryce. Filozofować znaczy więc „wierzyć” w produkcję, mnożenie, dzielenie. Jest to powrót do greckiej „wizji”, która oznaczała nie intuicję, lecz akt, który wymaga czasu i trudu, podobnie jak ręka malarza na wykonanie rysunku.

Jak każda filozofia, podobnie i ta — Lévy’ego — buduje system. Ma to być jednak system specjalny, otwarty, łączący w sobie wszystko to, co anty-systemowe, i przy tym pozostać systemem. Ma balansować na granicy mimo sprzeczności, które akceptuje — być nim zarazem „jeszcze” i „zawsze”. System, który „przyjmuje w siebie demona — nie absolutu lecz nieskończoności”, który równocześnie jest wrażliwy na „skończoność”, na „to, co jednostkowe”. Ma on zawierać w sobie wszystko to, co „zmiennie”, „zmieniające się”, „żyjące”. Czy taki system jest możliwy? Lévy wprowadza w niego słowa ograniczające i przekonuje nas, że w jego systemie już nimi nie są. Jakie kryje się za tym założenie? W jakim momencie system przestanie nim być? Wydaje się, że może nim pozostać jedynie wtedy, gdy założymy, że jego „systemowość” polega na jakiejś grze koncepcji i pojęć, na ich wzajemnym odnoszeniu się, na nieustannym byciu w jakiejś relacji, w jakiejś przestrzeni między „jeszcze” a „już nie”.

Takim otwartym systemem jest język. Łączy on w sobie wszystkie możliwe sprzeczności. Autor nie chce jednak pozostać hermeneutą. Chce przenieść słowo do ontologii. Unika pojęcia „metafizyka słowa” z równym zapałem jak innych określeń. Równocześnie zdaje się zauważać, że nadanie słowom trwałości, tego „wciąż” i „zawsze”, jest wobec racjonalności szaleństwem i głupotą. Jednak równość między „być” i „mówić” jest tym jedynym porządkiem, na którym opiera się i może się opierać jego system. Jest jedyną zasadą, która przeciwstawia się rosnącej fragmentaryzacji świata, przeczącej wszelkiemu porządkowi. Zrównanie słowa i bycia staje się prawem systemu.

Broniąc otwartości systemu i ostatniego szanca obrony — porządku słowa, Lévy walczy ze wszystkim, co jest wyłącznie racjonalne, a więc zastane,

skostniałe, ze wszystkim, co więzi i ogranicza słowo. Paradoksem jest, że najważniejszym winnym jest uniwersytet, akademia i wszystko, co się za nimi kryje. Nie mogą one być i nie są już miejscami do filozofowania, bo filozofia, „córka zbiegowiska i wojny”, dzieje się na uboczu lub w świecie. Uniwersytet uspokaja zbiegowisko, zagłusza troski, konflikty i wojnę, zabija więc filozofię. Jej miejscem jest ulica i plac publiczny, fabryka, więzienie. Tutaj filozofia odzyskuje teren od opinii — wroga wszelkiej filozofii, zaś filozof staje się raczej łobuzem, który odzyskuje spod władzy opinii utracone pole (s. 38).

Lévy nie wierzy w dialog. Rzadko bowiem można spotkać kogoś, kto w wyniku rozmowy zmienił swoje przekonania. U podstaw prawdziwej rozmowy leży jego zdaniem prawdziwa niezgoda. Filozofia dialogu zakłamuje ten podstawowy warunek. Dając iluzję porozumienia, sprawia, że przestajemy potrzebować drugiego człowieka, a zaczyna nam wystarczać tylko jego fantom. Nie do przyjęcia jest tym bardziej tak zwana filozofia rozsądku, sprowadzająca się w efekcie do filozofii wspólnego mianownika, który prowadzi do nagromadzenia prawd trywialnych, bez formy i smaku.

Jaka więc powinna być filozofia? Powinna być filozofią dla wybranych, filozofią tajnych bractw, heretyków, zakonów dla wtajemniczonych. Jest ona bowiem apologią nie rozsądku i tego, co oczywiste, lecz tego, co rzadkie i niepowtarzalne, jest przyjaciółką nie mądrości lecz prawdy.

Wszystkie te przeciwstawienia pokazują filozofię jako sztukę wojny (s. 50), która przeciwstawia się dialogowi, rozsądkowi, mądrości, jedności. Proponuje w zamian zdrową nieufność, heretyckie myślenie, kłótnię ujawniającą to, co nierozwiązywalne i nie do pogodzenia. Mistrzem dla Lévy'ego staje się Friedrich Nietzsche wzywający do niewstydzania się nienawiści, którą niesie w sobie prawdziwe myślenie. Pokój jest w tej konwencji tylko sposobem nowej wojny. Na wojnie ujawniają się bowiem cechy, które mogą ocalić ludzkość. „Wojna i odwaga dokonały większych dzieł niż miłość, nie zapominajcie, że to nie wasza litość, lecz wasza brawura ocali tę ludzkość, o którą, jak mówicie, że się troszczycie” (s. 53). Wojownicy poznania prawdy są współtowarzyszami i prekursorami prawdziwej świętości.

Filozofię można czytać na dwa sposoby. Z szacunkiem, sympatią, empatią, rozumiejąc i rozwijając się razem z tekstem tak, jak to proponuje Martin Heidegger. Lévy prezentuje inny sposób czytania i obcowania z lekturą filozoficzną: lekturę „piracką”, która mniej słucha a więcej czyni (s. 59). Wybór ten jest konsekwencją wyboru wojny, a daje na końcu lekturę „dziką”, bezbożną, nieodpowiedzialną i mało ważną. Francuski filozof jest przeciwnikiem filozofii „uładzonej” i opartej na erudycji, która nieustannie cytuje. Arystoteles, Kartezjusz, Baruch Spinoza, Ludwig Wittgenstein nie cytują, choć wiele czytali. Rabują jak piraci. Jest jednak ważniejszy powód. Ich filozofia jest systemem, w którym części współdziałają ze sobą, tworząc jakby wspólną ziemię światła i cienia. Usunięcie jednej z tych części nie daje niczego wartościowego. Lévy

nie cytuje więc — z zasady. Unika w ten sposób lubianej według niego przez innych filozofów sytuacji ograniczania kontaktu jedynie do innych myślicieli. A prawdziwe życie toczy się gdzieś obok.

Dlatego też Lévy rozumie to ascetyczne dążenie do oddzielenia filozofii od wszystkiego, co nią nie jest, ale nie podziela go. On sam uważa, że jego filozofia powinna inspirować się innymi „światami”, takimi, jak na przykład historia, literatura i tradycja — w tym przypadku żydowska i grecka. Prawdziwy filozof rozmawia poza czasem z filozofami różnych epok, uważa ich za współczesnych sobie, gdyż wokół niego i tak więcej jest martwych niż żywych — martwych, którzy nie zauważają, że są martwi, którzy uważają siebie za żywych. Prawdziwy filozof natomiast jest żywy, choćby już dawno nie żył. I w tym momencie rozpoczyna się propozycja nowej metafizyki Lévy’ego i prezentacja jej założeń.

Przekonanie o ciągłości czasu jest halucynacją. Autor zrywa z ciągłością czasu, który zawieszony jest między zmumifikowaną przeszłością, niepewną przyszłością, teraźniejszością, która się nie wydarza. Czy w tej nieustannej nieaktualności, dezorientacji można odnaleźć to, co nas przerasta — wieczność? Kryje się ona w „dziurach”, w słabościach — jedynie one są wieczne. Filozof nigdy nie jest martwy ani żywy, on nigdy nie umiera. Filozofia nie ma wieku. Nietzsche na przykład z jednej strony kontynuuje, a z drugiej poprzedza Platona.

Prawda w tej koncepcji jest „córką nocy i jasności”. Przyjmując ją, zgadzamy się na możliwość pomyłki, godzimy się na ryzyko, bo ona również powinna być zaangażowana. Metaforą tej zmiany, którą z zapałem wydaje się propagować Lévy, jest zamiana sowy — ptaka związanego z Minerwą i symbolizującego filozofię, na łanię — atrybut Wenus. Francuski myśliciel wierzy, że wraz z nią zamieniamy filozofię rezygnacji na filozofię działania. Sowa związana jest z nocą i pojawia się, gdy wszystko już umarło, zaś łania przychodzi o świcie, przynosząc ze sobą optymizm. Trzeba skończyć z fałszywą alternatywą interpretowania lub przekształcania świata. Jest trzecia droga: świat można naprawiać, bo powołaniem człowieka jest nie „ocalanie świata, a tym mniej jego rozpoczynanie, lecz po prostu przeszkadzanie mu, aby się « nie zamienił się w popiół»” (s. 102). Wraz z zamianą sowy na łanię przestajemy przemieniać świat, lecz czynimy go „mniej złym, mniej dusznym, mniej cuchnącym” (s. 102).

Autor zrzuca z piedestału metafizyczne „ja”. Podmiot przestaje królować jako stwórca. Staje się bardziej ustanowionym niż ustanawiającym, a „ja” jedynie sumą naszych następujących po sobie identyfikacji. Staje się więc rzeczą, ale za to „rzeczą specjalną”, „rzeczą wybitną”. W takim świecie to książki tworzą filozofów, którzy stają się ich synami, a nie odwrotnie. Podmiotem tych książek są one same, a nie autor. Nic nie znaczy bycie wiernym „ja” w sytuacji, gdy ono się wiecznie zmienia. Lepiej być wiernym sobie samemu i innym, a szczególnie swoim przyjaciółom. W tym wszystkim najważniejsza jest „służenie prawdzie” — jedyne, co się liczy i ma wartość. Ona sprawia, że filozof potrafi zmieniać siebie i swoje poglądy, przeczyć sobie, wypierać się siebie, a więc zdradzać siebie.

Lévy jest przekonany, że prawda leży w „maximum sprzeczności”, że można ją poznać, żyjąc jedynie w niezgodzie ze sobą samym. Życie filozofa staje się wtedy pasjonującą przygodą.

Dlatego też trzeba odrzucić „ja” transcendentalne, które jest wyrazem „wielkiego romantycznego marzenia” Heideggera i wszystkich tęskniących za wolnym bytem, heroicznym, autentycznym, który zawdzięcza swoją substancję tylko sobie. Romantyczny jest zarówno platoniczny sen o czystej duszy otwartej na czyste poznanie, jak marzenie Hegla o absolutnym władcy ducha. Wszyscy filozofowie są jakoś usytuowani, naznaczeni przez swoją epokę, położenie społeczne, czas, środowisko. Najjaskrawszym przykładem takiego złudzenia jest sam Heidegger, który uległ „czarowi” swojego czasu i we *Wstępie do metafizyki* między „dwoma medytacjami na temat «bytu bytującego» i «ontologii fundamentalnej» zaintonował hymn «o misji historycznej naszego narodu umiejscowionego w centrum Zachodu» i odę do «prawdy wewnętrznej i wielkości ruchu» (s. 116). Lévy ironizuje, iż Heidegger, „deklarując «uwolnienie się od tyranii», ulega dyktaturze hitleryzmu” (s. 116). Nie zapomina o tym paradoksie, czytając Heideggera, ale nigdy nie idąc za nim i wciąż wątpiąc, gdyż „filozofuje się swoim życiem” (s. 102).

Lévy filozofuje nie tylko życiem, ale również swoim ciałem, które jest „jedynie myśleniem w akcji”, bo filozofowanie jest „najpierw sposobem życia, a potem sposobem dostępu do Bytu” (s. 120). Drwi z „czystych” filozofów, którzy pragną utworzyć wokół siebie pustkę, a na końcu tracą swoją własną biografię. Uważa, że wielka filozofia wyrasta z bogatego w wydarzenia życia, z przyjaźni Filipa Macedońskiego z Arystotelesem, z losu wygnańca u Spinozy, z zabójstwa żony Althussera, z młodości Kanta.

Najważniejszym zadaniem jest poszukiwanie prawdy, ale filozof, który z jakichś względów przybiera pozę „żałoby wobec prawdy”, traci w oczach francuskiego myśliciela honor i godność. Podstawą bowiem powinno być nie poszukiwanie, lecz troska. Lepiej więc mówić o idei prawdy, o wciąż oddalającym się horyzoncie. Bliskie Lévy’emu jest pojęcie kresu powiązane z żydowskim mesjanizmem, który jest tym bardziej gorąco pożądanym, im bardziej jest poza naszym zasięgiem. Bowiem właściwsze dla człowieka jest błędzenie niż prawda. Ideał tej troski o prawdę wyraża duch prawdy prorockiej, która jest tym bardziej pożądana, im bardziej jest obnażana.

Książka nie pozostawia obojętnym i pewnie tego właśnie autor oczekiwał. Naturalna wiara w szczerą zachwycić się dążeniem do prawdy — „prawda” jest najczęściej powtarzonym w książce słowem. Demon podejrzeń skłania jednak do refleksji, czy przypadkiem nie jest to słowo, które ma jedynie otwierać czytelnika na pozostałe treści, skoro nie wiadomo, czym jest prawda, a większość tekstu zajmuje wyliczanie, czym ona nie jest?

Z jednej strony porywa wręcz rewolucyjny gniew Lévy’ego, jego walka z tym, co skostniałe, zastałe, fałszywe i pozorne. Budzi szacunek pragnienie,

aby „stawić czoła” wielkim wyzwaniom. Z drugiej jednak strony trudno nie postawić pytania, co się stanie, gdy gniew, jak każda silna emocja, ustanie. Czy ujawni się porewolucyjny cynizm? Czy autor nie przyjmuje estetycznej pozy? Czy takie tytuły rozdziałów jak: „Portret filozofa partyzanta i łobuza”, czy „Pochwała myślenia wampirystycznego” nie temu czasem służą? Czy ta gra silnych przeciwstawień nie zaczyna przesłaniać treści?

Zachwyca romantyczna wizja prawdy, która ukryta jest w prostym człowieku, a nie w zdeprawowanych warstwach społecznych. Ożywczo brzmi stwierdzenie Lévy’ego, że prawdziwa inteligencja jest gdzieś indziej, w miejscach, do których inteligent nie trafia, i w osobach, do których nie bywa podobny. Niestety marzenie o „prostym” człowieku podobne jest do utopii o złotym wieku. Nie ma już prostych ludzi, a na pewno nie jest nim „łobuz”, którym w filozofii chciałby być autor. Lévy jest romantykiem, choć pewnie oburzyłyby się na to określenie, podobnie jak na każde inne. Jak jednak nazwać kogoś, kto przy całym swoim dorobku chce być uznawany za „renegata”, głupca, filozofa bez posady?

Autentyczne jest u francuskiego myśliciela przekonanie o własnej misji — misji filozofowania na przekór wszystkim i wszystkiemu. Wydaje się jednak, że bardziej zajmuje autora samo bycie „przeciw” niż przyczyny buntu. Lévy zarzuca przeciwnikom brak autentyczności. Są oni dla niego imbecylami. Mamy mu przy tym wybaczyć to określenie, bo „taka jest prawda”. Filozofię trzeba bowiem tworzyć nie „dla”, lecz zawsze „przeciw” (s. 120). Przeciwnik jest imbecylem, bo owładnięty „obsesją dialogu” przeżywa rozczarowanie brakiem bliskości i porozumienia. Nie wie, że tylko wtedy możemy zerwać z przyzwyczajeniem, gdy towarzyszy nam prawdziwy gniew, który wciąż poszukuje przeciwnika, kogoś, kto nam szkodzi.

Tym, co w książce Lévy’ego najciekawsze, równocześnie jednak budzące wątpliwości, są same założenia, kamień węgielny projektowanej „metafizyki przyszłości”. Ma to być system, który jednocześnie nie jest systemem, który zawiera w sobie to, co systemowe i antysystemowe. To opis świata, w którym czas nie obowiązuje, żywi okazują się martwi, a martwi są żywi, Nietzsche poprzedza Platona, a prawda jest zawsze nie tam, gdzie jej szukamy, i może okazać się pomyłką.

Gdzie jest więc ten kamień węgielny metafizyki przyszłości? Zgodnie z poetką tej książki jest pomiędzy „jeszcze” i „zawsze”. Nie tam, gdzie myślimy, że może być. Musimy go szukać i nie poddawać się, buntować i sprzeciwiać. Szukać go w więzieniu i między włóczęgami. A może po prostu go nie ma? Sądzę, iż metafizyka Lévy’ego jest metafizyką słowa, choć wiem, że autor natychmiast by mi zaprzeczył. Nie zgadza się przecież z zasady na żadne pozytywne i ostateczne określenia. Czy jednak taka filozofia nie kończy się, gdy ustaje brzmienie słów?

Zgodnie z przekonaniem Lévy’ego to nie on napisał tę książkę, lecz książka pisze się sama, to ona go tworzy. Trudno się z tym zgodzić. *De la guerre*

en philosophie napisał całym sobą, wszystkimi swoimi emocjami, wykorzystując dostępną sobie erudycję. Chciał w niej pokazać, że jest łobuzem filozofii. Czy tak jest istotnie, warto przekonać się samemu.

*Witold WIETESKA**

* Magister filozofii, doktorant w Instytucie Filozofii i Socjologii, Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie. E-mail: witoldwieteska@interia.pl.

